

W MAJOWYCH numerach czasopism czytamy zazwyczaj dużo o kobietach. Dokładnie nie wiadomo właściwie dla czego, ale tak się utarło, że pierwsze ciepłe, wiosenne dni kojarzą nam się nie tyle z młodością w ogóle — co byłoby nawet zrozumiałe — lecz z młodością o określonej płci, czyli z dziewczynami.

Natomiast, gdy kwiaty bzu już trochę przywidną i maj nam się kończy, nadchodzi Dzień Matki, i znów kobiety wracają na okładki, na czołówki tygodników i w ogóle — są góra... „Kurier” wprowadził nie zawsze ulega ogólnym tendencjom i nie zawsze pisze to co inni, i tak jak pisać inni, niemniej — nie chciałbym się wylamywać przynajmniej w tak miłych drobiazgach, i jego majowe wydanie również poświęcam kobietom. Nie będzie to przy tym naciąganiem tematu, okazji bowiem do tego ubierało się — jak na zawołanie — wręcz mnóstwo.

Po pierwsze zatem: warszawski festiwal Jandy. Krystyna Janda swój dłuższy pobyt w Warszawie, przed kolejnym wyjazdem na zagraniczny kontrakt, wykorzystwała — ku naszej radości! — do maksimum, grając trzy wielkie role. Być może żachną się ci, którzy uważają, iż do ról „wielkich” zalicza się jedynie te, co to nie schodzą poniżej Gustawa-Konrada, wyjaśnię więc, że co do mnie — za „wielkie” uważam przede wszystkim role dobre i interesująco napisane (choćby i w bulwarowej farsie), wspaniale zagrane, no, i niemałe także pod względem ilości tekstu i czasu pobytu na scenie, a te warunki nowe kreacje Jandy spełniały w stu procentach. Zagrała panią Heiberg w sztuce Enquista „Z życia glist” i Ritę w „Edukacji Rity” Willy'ego Russella, czyli dwie pozycje z bieżącego światowego repertuaru, a także Heloizę w „Heloizie i Abelardzie” Ronalda Duncana, wznowionej z nią w Warszawie po paru latach przerwy. Jeśli dodam, że pierwsza z tych sztuk rozpisana jest na trzy osoby (z jedną dodatkową, praktycznie nie uczestniczącą we właściwej akcji), a pozostałe są dwuosobowe, przytoczę Państwo, że o chwili wytchnienia na scenie nie mogło tu być mowy. Oglądaliśmy kawał aktorskiej roboty, w dodatku — jak się to u nas mówi — kawał dobrej roboty.

Enquista poznaliśmy w Warszawie przed siedmiu laty poprzez jego „Noc trybad” — napisaną z ogromną pasją, drapieżną sztukę o Strindbergu. Tym razem, 50-letni szwedzki pisarz przedstawia nam „obraz rodzinny z roku 1859”, w którym maluje portrety trzech artystycznych, sławnych postaci XIX-wiecznego artystycznego świata Kopenhagi: Hansa Christiana Andersena (tak, tak, tego od „Baśni”), Johanna Luizy Heiberg — aktorki, pisarki, reżyserki; damy trzęsącej ówczesnym życiem kulturalnym Dani, oraz Johana Ludwiga Heiberga — jej męża; poety, dramaturga, dyrektora Królewskiego Teatru. Podobnie jednak jak sztuka o Strindbergu, tak i sztuka o tej sławnej trójce jest w gruncie rzeczy dramatem o ludzkim piekle; o tym, co dzieje się wewnątrz człowieka — o kompleksach, ambicjach i przeraźliwej samotności wśród ludzi; krótko: o najbardziej mrocznej stronie ludzkiego „Ja”, sadystycznie i masochistycznie wywlekanej na wierzch podczas pełnej napięcia i niepokoju wielkiej nocy szczeroci. Szczeroci aż do bólu zadawanego i sobie, i innym.

W znakomicie napisanym dialogu swolista licytację własnych krzywd i utnomności prowadzi Andersen i Johanna Luiza; na warszawskiej scenie — Zbigniew Zapasiewicz i Krystyna Janda. Wiąca się w ich dialog również mąż Luizy — Franciszek Pieczka; niemym świadkiem, a w pewnym sensie i obiektem sadystycznych starć pozostaje matka Luizy (Wiesława Mazurkiewicz). W Teatrze Powszechnym spektakl „Z życia glist” wyreżyserował Zygmunt Hübner, pozostawiając — tak jak trzeba — przede wszystkim pole dla aktorskiego koncertu.

Niewątpliwie Enquist posiada rzadki dziś talent pisania wspaniałych ról, w których aktorzy — dobrzy aktorzy! — mogą porwać widza, wzruszyć go, zaniepokoić, nawet poirytować... Tak było w „Nocy trybad”, tak jest i w tej sztuce. Widziałem wcześniej „Z życia glist” w Krakowie, również w świetnej obsadzie (Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Jan Nowicki, Jerzy Bińczycki), i z obu przedstawień wyszedłem zachwycony aktorskimi kreacjami — szczególnie obu pań.

Warszawa wiosną, a więc o kobietach ●
Festiwal Jandy, czyli dwa z jej trzech scenicznych wcieleń ● Aleksandra Śląska „Matka” (Witkiewicza) ● Kobieta-dyrygent; zjawisko nadal rzadkie, lecz pełne uroku...

Zaś Janda dostarczyła mi dodatkowych artystycznych przeżyć całkowicie odmiennym scenicznym wcieleniem, w jakim obejrzałem ją już następnego dnia. W Powszechnym — maksymalna powściągliwość, pozorny chłód kryjący emocjonalne napięcie i pełne mocnego wyrazu chwile dramatycznych kulminacji, podczas których ciarki chodzą po widzach; w Ateneum, na kameralnej Scenie '61, XIX-wieczna królowa kopenhaskich salonów stała się superwspółczesną dziewczyną „na luzie”, zabawna i z wdziękiem, wprawdzie prymitywna na pierwszy rzut oka, lecz z drzemającą gdzieś wewnątrz potrzebą przemiany i siebie, i swego życia. Dokonania tej przemiany podejmuje się profesor „otwartego uniwersytetu” — trochę poeta, trochę alkoholik, sympatyczny facet z kompleksami — no i tak zaczyna się „Edukacja Rity”...

Powiecie, że to „Pigmalion” poczciwego Shawa, tyle że późniejszy o trzy ćwierci wieku. Właściwie tak, lecz właśnie te „trzy ćwierci” tak odmieniły świat, iż bajka o kwaciarcie lub — jak tutaj — fryzjerce przemienionej w coś na kształt księżniczki musi wyglądać inaczej. Podobnie zresztą jak u Shawa, sztuka Russella — mówiąc najogólniej: sztuka o awansie społecznym i kulturalnym — niesie sporo pytań i wątpliwości, z tym, iż Russell nie rozwiązuje ich tak jednoznacznie optymistycznie jak Shaw. Także i tutaj dawna Galatea staje się swemu Pigmalionowi niezbędna, lecz tutaj — Galatei już jej Pigmalion nie wystarcza. Uczeń przerósł mistrza; Rita weszła w nowy świat z zaciekawieniem i swobodą właściwą naszym czasom, ale — nie był to już świat jej profesora, lecz świat następnego, innego pokolenia. Życie toczy się dziś nieporównanie szybciej. Zyskała wiele, nauczyła się wiele, jednak — i tutaj kolejna wątpliwość — czy nie zagubiła po drodze jakiegoś drobiazgu? Czy nie zagubiła... siebie? Swjej indywidualności, swego własnego, trzęwego spojrzenia na życie, na ludzi i na literaturę, zmieniając je na zuniformizowane obiegowe sady i opinie?

„Edukacja Rity” wydaje się bulwarową komedią; w każdym razie zaczyna się jak efektowna, pełna zaskakujących gagów i dialogowych spięć komedia, potem jednak staje się jakby coraz smutniejsza i gorzka, i coraz bardziej serio. Czy taka jest prawidliwość? Czy zawsze proste życie oznacza proste problemy, gestniejące i komplikujące się znacznie w miarę wspinania się po szczeblach społecznej i intelektualnej drabiny?

Na to trzeba już sobie samemu odpowiedzieć. Russell poddaje tylko temat do rozważań, poddaje go przy tym w sposób — zwłaszcza w pierwszych scenach — nieodparcie zabawny. Szereg krótkich obrazów, krótkich skeczów lub nawet blekautów, układa się w zgrabną, relaksową całość, dając pole do brawurowego popisu aktorskiego dwójka osób: w Ateneum, w reżyserii Andrzeja Rozhina, Rita i jej profesorem są Krystyna Janda i Tadeusz Borowski. Janda swobodna i przeurocza jako prosta dziewczyna anno '84, na oczach rozbawionej publiczności przekształca się w młodą, efektowną kobietę, świadomą siebie i świata, inteligentną, rozumiejącą życie.

Ten prawdziwy „festiwal Jandy” chciałem spointować jej portretem Heloizy, udając się w tym celu do nowej siedziby teatru „Prezentacje” — niezwykłej sceny bez stałego zespołu, natomiast chytrze korzystającej z tego, co inne teatry maja w swych zespołach najlepszego. Już niejednokrotnie spędzałem tam wspaniałe wieczory, niestety — tym razem szczęście mi nie dopisało: Janda zachorowała,

spektakl w „Prezentacjach” w ostatniej chwili odwołano, a że był to już podobno jej ostatni występ w „Heloizie”, więc pozostała mi tylko liza w oku.

PELNA UŚMIECHU jest za to laurka dla drugiej kobiety — bohaterki majowego wydania „Kuriera”: również w Ateneum, lecz na dużej scenie, Janusz Warmiński wystawił nieco wcześniej „Matkę” Witkiewicza z Aleksandrą Śląską w roli tytułowej. Tak się jakoś w naszej prasie ostatnio (Przekrój też nie bez winy) rozpisano o „Matce”, jaką w Los Angeles zagrała Barbara Krafftówna, że już na rolę Śląskiej nie starczało miejsca; normalny objaw, że to, co za granicą, interesuje nas bardziej, niż to, co za miejscem, jako że od czasów Chopina liczy się u nas wyłącznie sukces zagraniczny. Pozwolę sobie jednak donieść także i o tym, iż spektakl w Ateneum nie mniej jest atrakcyjny od tego w Los Angeles, a może i bardziej (tamtego nie widziałem, więc piszę na wycucie), a kreacja Śląskiej efektownie powiększa jej bogate konto sukcesów, świadcząc, iż znakomita aktorka doskonale odnajduje się również w tak specyficznym gatunku komizmu, jakiego wymaga Witkiewicz.

Z doskonałej obsady zachowałem we wdzięcznej pamięci także Jerzego Kryszaka (Leon), Mariana Kociniaka (Apolinary Plejtus) i zaskakującą odmienną od tego co dotychczas robila (na scenie lub ekranie), Elżbietę Starostecką; trędowata Stefcia przemieniła się (w roli Lucyny Beer) w piękną kobietę-wampę o plorującym sex-appealu...

TRZECIA KOBIETA-TEMATEM jest dziś Agnieszka Duczmal, szef i dyrygent Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia i TV w Poznaniu, która przywiozła swój zespół na gościnne występy do Filharmonii Narodowej, prezentując program przygotowany prawdopodobnie na bliskie tournée po Meksyku.

Kobieta-dyrygent nie jest już wprawdzie w świecie jawnie szokującym, niemniej — nadal rzadkim. Być może, iż ta specjalność, wymagająca nie tylko wszechstronnego talentu muzycznego i psychicznej predyspozycji, lecz także umiejętności kierowania sporą grupą ludzi, no i siły fizycznej, po prostu nie leży w kobiecej naturze, a rzadkie wyjątki potwierdzają jedynie te reguły; tak czy inaczej wśród setki najwybitniejszych kapelmistrzów świata nadal nie ma kobiety, podobnie jak nie ma jej wśród decydujących o kierunkach muzyki kompozytorów, czy decydujących o rozwoju malarstwa plastyków. Na naszym krajowym podwórku ogólnopolskie uznanie i popularność zyskała jedynie dwie kobiety przy dyrygenckim pulpicie: Agnieszka Duczmal właśnie, i Ewa Michnik — dyrygent i dyrektor Opery Krakowskiej, nawiasem mówiąc, najładniejszy dyrektor świata.

Orkiestra Kameralna Agnieszki Duczmal, to zespół smyczkowy dobrze już znany w kraju i wielokrotnie koncertujący za granicą; obok Polskiej Orkiestry Kameralnej Maksymiuka jest to nasz drugi stały zespół tego typu na doskonałym poziomie, o równym, pięknym brzmieniu, grający z precyzją i wycuciem stylu. W Warszawie Duczmal poprowadziła Symfonię na smyczki Mendelssohna, Divertimento D-dur Mozarta, popularną Serenadę C-dur Czajkowskiego, a także Koncert wiolonczelowy C-dur Haydna z ogromnie muzycznym, świetnym młodym solistą, Andrzejem Bauerem. Był to w sumie bardzo piękny i atrakcyjny wieczór dobrej muzyki, choć chwilami w grze orkiestry odczuwałem brak tego, czego, gdzie jak gdzie, lecz pod kobiecą ręką, powinienem znaleźć chyba nadmiar: odczuwałem pewien brak lekkości i wdzięku. Ale — może to tylko kwestia mojego, akurat nieco smutniejszego, nastroju?

Tyle więc o kobietach, a o niczym innym nie chciałem w maju pisać (tzn. w czerwcu, lecz w majowym numerze!), aby nie wylać się z ogólnie przyjętych zasad. Wylamywanie się bywa u nas bodaj gorzej widziane niż wylamywanie, zatem żegnam do czerwca (czyli w praktyce do lipca; to jeden z naszych codziennych absurdów). Do poczytania!

LUCJAN KYDRYŃSKI